

Wycie syren. Cisza. Nieziemsko głośne zawrośnięcie chóru aniołów, takich z piekła rodem. Nie ma tlenu. Czuję, jak płuca wypełnia oleista substancja. Jest ciemno, nic nie widzę, spadam na dno czegoś nieskończenie głębokiego. Czułoci jakby. Oglądam film, widzę go oczyma wyobraźni. Świadomy sen z perspektywy trzeciej osoby. Wiszący na niebie księżyc, kilka chmur. Satelita nieźle daje, działa jak latarnia. Las, mały domek, uciekający mężczyzna. Biegnie ile sił w nogach. Goni go paru facetów z latarkami, dzieli ich odległość kilkunastu metrów. Coś do niego krzyczy. Kompletnie nie zwraca na nich uwagi. Padają strzały. Seria następujących jeden po drugim strzałów. Facet pada, tamci dobiegają do niego. Są jak myśliwi, jak wilki, które właśnie dopadły ofiarę. Za chwilę przyjeżdża auto, furgonetka. Jej światła rzucają na okolicę niebieski, zimny blask, to karetka pogotowia. Gdzieś już to widziałem, byłem czegoś takiego świadkiem. Takich okoliczności i takiej sytuacji. Zapada ciemność, znika obraz, jakby ktoś wyłączył projektor. Znowu posmak oleju w ustach i spadanie w głąb czegoś nieskończenie wielkiego i głębokiego. Pojawia się światło. Na górze w zenicie ledwo dostrzegalne. Jest jak dziura w płachcie zakrywającej cały wszechświat. Koncentruję się na nim z całych sił, całą dostępną mocą. Powiększa się, pulsuje, coraz bardziej i bardziej. Coś kopie mnie w plecy, bardzo mocno. Mknę w stronę światła, w stronę białego tunelu. Huk, za chwilę błysk.

Widzę jak przez mgłę, bardzo niewyraźnie, wszystko jest rozmyte. Wzrok się kalibruje, po krótkiej chwili łapie ostrość. Widzę lekarzy. Stoją nade mną w niebieskich maseczkach i w czepkach. Nie widzę ich dłoni, lecz po ruchu barków wnioskuję, że coś nimi robią, poruszają nieustannie. Przeprowadzają operację. Tak dokładnie, operację, to chirurzy. Jestem w szpitalu, leżę na stole operacyjnym na oddziale chirurgii pod wielką jasną lampą. To w stronę tego właśnie światła mknąłem.

- Nieźle go urządzili – mówi pierwszy. Ma duże okulary na nosie w rogowej oprawie, długi szpiczasty nos. Szkła w okularach powiększają niebieskie oczy.

- Nie wiem, dosłownie nie mam pojęcia, jakim cudem przeżył – mówi drugi, tęgi, ma okrągłą puciołowatą twarz jakby rysowaną od cyrkla. Do tego skośne oczy, Azjata, wyraźne zarysowane zmarszczki wokół oczu, po pięćdziesiątce tak oceniam – Klamry – Dodaje.

Pojawia się czyjaś dłoń. Widzę ją kątem oka, jej mignięcie. Dłoń podaje klamry.

- Walili bez ogródek – Mówi pierwszy, ten w okularach.

- Boże, ale żeby aż tak nafaszerować. Lepiej dla niego jakby nie przeżył. Z mózgu to za wiele nie zostało. Osiem minut niedotleniony. Na bank będą zmiany, kwestia jak dalece upośledzające i które obszary mózgu - Mówi tęgi Azjata – Młody facet – Rzuca i poprawia przedramieniem czepek.

- Młody, młody – Odpowiada okularnik.

- Wiecie, kto to? – Pyta ktoś stojący za mną. Nie widzę go, jedynie słyszę.

- Bernard Hooper. Oficjalnie przywieziony z wypadku. – Mówi okularnik.

- Raczej z frontu. Nie mam pojęcia, po co za drzwiami siedzi policja. W takim stanie nie ucieknie. Cud normalnie, że przeżył – mówi głos skądś tam.

- Racja – Mówi okularnik - Ten przedwczoraj – Mówi dalej.
- Motocyklista? – Pyta postawny wchodząc w słowo.
- Ta, motocyklista. Był w dużo lepszym stanie, a zszedł. Niby stabilny był, niby wszystko okej. Chwila moment się zawinał. Byliśmy bezradni.
- Nie miało mu się na życie – Postawny macha szczypcami z nadzianym na niego tamponem.
- Powiem wam, że z tym życiem, to moim zdaniem jest tak...

Słyszę, jak rozmawiają. Dokładnie słyszę każde słowo. Jakieś filozoficzne pitolenie o przeznaczeniu zapisanym w gwiazdach, jakiejś wypalającej się świeczce i tym podobne wywody. Boskim planie, w którym oni są jedynie aktorami, zaprogramowanymi odtwórcami swych wyreżyserowanych ról. Nie mogę tego słuchać. Jeżeli jest przeznaczenie i jeżeli jest gdzieś w ogóle zapisane to prędzej w dupie niż w gwiazdach, gównianymi spółgłoskami i samogłoskami. Nie ma żadnego przeznaczenia, nie ma niczego pewnego, wszystko jest kwestią przypadku, ślepego fartu lub niefartu. Fart to utarg kurwy. Takie właśnie jest życie. Dlatego wróciłem, dlatego dostaję kolejną szansę, bo świat jest ociekającą przemocą, sprzedającą bladzią. Różnice dotyczą jedynie sposobu, z jakim się je przeżywa. Za ile się siebie sprzedaje i co się z tego ma. Tyle, nic więcej. Bernard Hooper, wszystko się zgadza. Taką mam teraz tożsamość, takie personalia widnieją w moim dowodzie osobistym. Przynajmniej na tym polu wszystko jest okej. Nie wiedzą, z kim faktycznie mają do czynienia. Przynajmniej na razie. Policjanci przed drzwiami na korytarzu to rutynowa procedura w tego typu sprawach, przy strzelaninach, dziurach w ciele.

- Ruch źrenic, podkręćcie narkozę. – Mówi okularnik.
- Może nie będzie z nim tak źle. – Dodaje ten drugi.

Nagle coś zaczyna pikać. Piskliwy, ewidentnie ostrzegający o zbliżającym się niebezpieczeństwie dźwięk. Najpierw tracę słuch. Co prawda słyszę, jak coś mówią. Krótkie, nerwowe wymiany zdań, nijak nie jestem w stanie ich zrozumieć. Pisk staje się coraz bardziej dokuczliwy, zaczyna boleć. Wzrok robi się coraz bardziej mętny. Znów odlatuję, tracę przytomność i kontakt ze światem. Zapada głucha cisza i ciemność. Jest miło, błogo, w ustach smak oleistej substancji. Przechodzę w tryb Off.

\$\$\$\$\$\$\$\$

Obskurna ulica obskurnej dzielnicy w obskurnej metropolii. Miasto przypomina otwarty trójwymiarowy egzemplarz książki nie dla dzieci. Zapach spalin, tysiący oddechów, barów szybkiej obsługi miesza się, tworząc miejski, duszny smród. Szara od spalin i kwaśnych deszczów elewacja budynków przyprawia o mdłości. Podobnie bruk ulic. Jadę wzdłuż rzędu latarni, mijam przemierzających ulice ludzi. Jest ich bardzo dużo, całe mnóstwo. Tłoczą się na chodnikach, przebiegają lub przechodzą przez ulicę. Idą do lub z pracy, z nocnych zmian. Zaprogramowany, wgrany do młodych umysłów program, swego rodzaju schemat życia działa doskonale i dotyczy wszystkich, każdego bez wyjątku na zasadzie wielkiej umowy społecznej. Pracownika korporacji, prywatnego przedsiębiorcę, pracownika administracji, rzemieślnika,

gangstera, przestępcę, złodzieja, diler, bezdomnego. Zarabiać musi każdy. Kwestia tylko ile i w jaki sposób. Większość z nich to życiowe przegrywy pochyceni w schemat kredytów, długów pożyczek, bezmyślnego konsumpcjonizmu i zbliżającego się wielkimi krokami bankructwa. Upadku moralnego i finansowego. Zachłanni, pazerni, zrobią wszystko by się utrzymać na powierzchni. Przeżyć od poniedziałku do poniedziałku, od pierwszego do pierwszego. O to w tym chodzi, o uzależnienie, powolne zniewolenie, taki jest nieoficjalny cel całej tej inżynierii społecznej. Bogacenie się bogatych i odbieranie biednym tego, co mają. Jadę samochodem, prywatnym, Dodgem Chargerem. Służbowe auto musiałem oddać. Jadę porozmawiać z kilkoma osobami. Rozmowy będą nieprzyjemne, trzeba będzie ich przycisnąć, wyciągnąć nieco informacji. Jestem zły, na dobrą sprawę wściekły więc nie będzie to problemem, wręcz przeciwnie, odreaguję na nich, wyżyję się, upuszczę nieco pary z siebie, a im krwi. Nie tak wyobrażałem sobie pierwszy miesiąc emerytury. Miały być grille, wędkowanie, piwo, łono rodzinne. Wraz z zaginięciem Eda wszystko szlag trafił.

Przez moment przypominam sobie Katrin. Jej pełen troski i bólu wzrok, jakim mnie obdarzyła, gdy wychodziłem z domu. Miesiąc temu obchodziliśmy dwudziestopięciolecie małżeństwa. Wie, że nie odpuszczę tej sprawy. Emerytura nie jest tu absolutnie żadną przeszkodą. Pięćdziesiąt lat to bardzo dobry wiek. Zabójczo dobry, wyglądny i niebezpieczny jak na emerytowanego psa pionu kryminalnego wiek. Jadę Crown Avenue 3. Za chwilę skręcę w Crown Street 7. Rozpogadza się, zza chmur wygląda raz za razem słońce. Włączam kierunek. Ed, niech cię szlak, miało być tak pięknie. Ed był moim partnerem, a zarazem bardzo dobrym kumplem. Wspólnie rozpracowaliśmy miejscowy gang trudniący się handlem żywym towarem. Setki milionów brudnych dolców do wyprania. Głośna sprawa sprzed czterech lat. To nie był tylko handel ludźmi, nie gardzili także branżą porno. Obłeśnymi filmikami z kopulującymi ze sobą maskarami. Ludzkimi paszkwilami bez krzty ambicji. Wszystko dla pieniędzy, bo przecież nie rozgłosu. Nie z takimi pyskami, ciałami i nieporadnością życiową. Wszystkie gazety o tym pisały. O wielkim sukcesie policjantów z Crown City. Śmieszna premia, awans, flesze aparatów, anonimowe wywiady. Byliśmy operacyjnymi, pokazanie twarzy nie wchodziło w grę. Nie o to jednak chodziło, nie taki przyświecał nam cel. Może to śmieszne, po prostu głupie i niemieszczące się w głowie, ale naprawdę chcieliśmy ich dopaść, odizolować od społeczeństwa zapobiec dalszemu rozlewowi krwi i morzu wylanych przez wykorzystywane ofiary łez. Udało się, kilku zginęło. Nie jest mi z tego powodu przykro.

Załatwiliśmy także domniemanego naśladowcę Kuby rozpruwacza. Masakrował prostytutki, damskie, męskie i te biseksualne, bez różnicy. Był okrutny, bezlitosny. Nie bawiliśmy się w zatrzymanie. Zastrześliłem go. Nielogicznym było zatrzymywanie i osadzanie kogoś takiego w więzieniu. Zadowolonego, uśmiechniętego, dumnego z zabijania, z zapisania się krwawymi zgłoskami w historii miasta. Tak jak mówiłem wcześniej to kwestia ekonomii i w żaden sensowny sposób nieuzasadnionego obciążenia dla podatnika. To tylko dwie najgłośniejsze sprawy. Tych mniej głośnych, na przestrzeni kilkudziesięciu lat służby było znacznie więcej. Wszystko szło dobrze, zazębiało się, do czasu. Cholera Ed. Gdzie popełniliście błąd? Jak mogliście dać się tak zaskoczyć? Tyle razy ci mówiłem, tłumaczyłem, ostrzegałem. Zwalniam, w końcu się zatrzymuję. Przede mną ciągnie się szpaler stojących w korku aut. Wyjmuję paczkę Marlboro, otwieram ją, biorę szluga, potem zapalniczkę, zapalam, zaciągam się, w międzyczasie opuszczam szybę, wydmuchuję na zewnątrz dym. Najgorsze, co może być, to śmierdząca petami tapicerka. Papierosy to mój jedyny nałóg, z którym walczę od dobrych jedenastu lat. Tym razem wytrzymałem pół roku. Po raz pierwszy zapaliłem, gdy się dowiedziałem o zniknięciu Eda. Tworzyliśmy najlepszy duet w historii pionu kryminalnego policji Crown City. Do tej pory nie ogarniam, nie mogę zrozumieć jak to możliwe, że Ed zniknął. Wraz z Krisem Williamsem, Joem Montierim i Kurtem Blackiem, wpadli na trop Emilii Valentine. Emilii, czyli kobieta wąż. Cholerne mroczne wcielenie Lilith.

Najpodstępniejsza, zdradziecka kobieta, z jaką miałem w swym życiu do czynienia, a miałem do czynienia z wieloma daję słowo. Żadna nie dorastała jej do pięt. Manipulatorka, kombinatorka, psychopatka, bez uczuć, skrupułów, sumienia. Do tego piekielnie ładna. Polowała, oczarowując. Namierzyli ją trzydzieści kilometrów od miasta w leśnej głuszy. Ukrywała się tam od przeszło tygodnia. Stamtąd zlecała egzekucje, dopinała transakcje z Kolumbijczykami, organizowała transporty i kanały przerzutowe. Wszyscy się jej bali. Latami na to pracowała. Na renomę, na szacunek ludzi nieuznających jakichkolwiek zasad. Od polityków poprzez biznesmenów po gangsterów. Potrafiła owinać wokół najmniejszego palca, każdego. Wedle potrzeb, upodobania i swojego widzimisię. Mężczyzna, kobieta bez różnicy. Istny wcielony demon. Materializacja zła w najmroczniejszej, najbardziej zgubnej dla ludzkości odsłonie. Pojechali we czterech. Powtórzę się. Powtórzę się zapewne jeszcze kilka razy, ale do tej pory nie mogę pojąć, jak to się stało, że zniknęli. Nie wszyscy, ciało Blacka leżało nieopodal posesji z dwoma kulkami w głowie. W dłoni miał zaciśniętą broń.

Nie mam złudzeń, że wszyscy pozostali także nie żyją. Odkrycie ich ciał to kwestia czasu. Jestem tego więcej niż pewien. Nie dopuszczają mnie do sprawy właśnie ze względu na Eda, bo byliśmy partnerami. Słowo klucz, byliśmy. Słowo partner zastąpiło słowo emeryt. Ed był moim wychowankiem. Młodszym o dziesięć lat zabójczo skutecznym psem. W mig wszystko łapał. Od samego początku, odkąd tylko do nas przyszedł i został do mnie przydzielony. Ed bez problemu mógł być gwiazdą dowolnie wybranej przez siebie dyscypliny sportowej. Dobre metr dziewięćdziesiąt wzrostu i przeszło sto kilo wagi, wysportowany. W młodości trenował zapasy, był obrońcą w uniwersyteckiej drużynie futbolowej. Cudowne skazane na sukces złote dziecko. Czego się nie dotknął, zamieniał złoto, urodzony Midas. Mimo wszystko postanowił zostać policjantem. Widziałem w nim własne odbicie. Nie nosił ze sobą broni. Nie lubił strzelać, uwielbiał za to otwartą konfrontację. Nokoutował, bił do nieprzytomności, z tego słynął.

Wzbudzał postrach wśród całego półświatka Crown. Kris Williams, Joe Montierii i Kurt Black też byli ostrymi psami. Nie patyczkowali się z patologią. Owszem, zgadza się, dobry pies musi mieć w sobie coś z psychopaty. Musi mieć instynkt łowcy. To go napędza, daje kopa. Wszyscy czterej mieli to coś. Akcja była w znacznej mierze improwizowana, na trop Valentine wpadli przypadkiem. Często zmieniała miejsce pobytu, cwana sztuka. Poszli sami bez wsparcia, nikomu nic nie powiedzieli. Zbyt duże ryzyko wycieku. Kapusie, ludzkie ścierwa są wszędzie, dotyczy to także policji. Emilii nie szczędzi grosza informatorom. Korumpuje na potęgę, wszystkich jak leci, każde słabsze ogniwo. Najprawdopodobniej Ed i Kris nie mieli broni, zbyt duża pokusa, by jej użyć. Krisa Makarov był i rusznikarza. Joe zapewne miał klamkę, nie weszliby tam przecież z gołymi rękoma. Ona musiała być żywcem doprowadzona przed oblicze sprawiedliwości. Sprawie Valentine priorytet nadał sam Gubernator Georg Fox. Tak brzmi oficjalna wersja. Całkiem przypadkiem dowiedziałem się o drugiej wersji, nieoficjalnej. Jeden z Bossów rezydujący w mieście Medellin płacił piętnaście milionów dolarów za dostarczenie jej żywcem, trzy za zwłoki. Gra warta świeczki, tak uważali. Gdybym tam wtedy z nimi był, gdyby nie ta cholerna emerytura scenariusz Medellin nie wchodziłby w grę, w życiu bym do tego nie dopuścił, nie przy zatrzymaniu kogoś takiego jak Emilii. W jej przypadku nic nie jest takim, jakim się na pozór wydaje. Ale mnie nie było.

Gdzie popełnili błąd? Co nie zagrało? Być może zgubiła ich pewność siebie. Na miejscu zatrzymano ty-pa. Kompletnego nołnejma. Nie figurował w żadnej bazie danych. Zatrzymano. Dobre sobie. Gość leży w szpitalu w śpiączce. Kilka ran postrzałowych. Co z tego, że przeżył jak warzywo. Nie mam pojęcia, po co sztucznie podtrzymują go przy życiu. Nawet jak jakimś cudem się ocknie, inwalida do końca życia. Słowa się z niego nie wydusi. Ciało Eda, Krisa i Joego nie znaleziono, były jednak ślady krwi, całkiem sporo w całym domu. Na parterze i piętrze. W domu obok w garażu stał samochód, toyota prius. W bagażniku milion dolarów i dwa kilo kokainy. Tym razem jej się nie uda. Nie będzie żadnej zabawy w

doprowadzanie przed sąd. Zastrzelę ją. Nafaszeruję ołowiem od stóp do głów. Złamała podstawową zasadę, zabiła psa.

Głupie gadanie, jakby kiedykolwiek uznawała jakiegokolwiek zasady, tym bardziej te niewygodne dla siebie. Ruszam, przyspieszam. Przez chwilę zatracam się w dźwięku silnika V8. Przejeżdżam na czerwonym świetle. Skręcam W Crown Street 8. Mur starych budynków zdaje się nie mieć końca. Bramy i mroczne zaułki wyglądają jak lekko uchylone usta koszmarnego stwora łaknącego światła. Mijam mały sklep spożywczy, aptekę i kilku wałęsających się bez celu bezdomnych. Są jak cienie, miejskie duchy, mroczna strona ulic miasta. Parkuję przy Paradajisie. Miejscowej knajpie pełniącej funkcję pralni brudnych pieniędzy pochodzących głównie z wymuszeń, haraczy, uprowadzeń, nielegalnych salonów gier. Przeciętny mieszkaniec omija tę mordownię szerokim łukiem.

Staję obok starego pickupa i Chylera Voyagera. Właściciel speluny, nijaki Billy Joe, to dobrze mi znany kryminalista i mroczną crepy przeszłością, numer jeden na mojej liście przesłuchań. Uwielbia bić, wymuszać i wyłudzać. Czerpie radość z zadawania bólu. Taki już z niego typ. Przycisnę go, jak trzeba będzie, połamię albo potnę brzytwą. Swego czasu był jej żołnierzem, specem od mokrej roboty. Od niego zacznę. Potem pogadam z cholernym afroamerykańskim alfonsem Pedrem i zaopatrującym całe Crown w narkotyki Mikim. Nie będzie kurtuazji. Wszelkie etykiety przestały istnieć. Zresztą już nie jestem psem, nie muszę postępować zgodnie z literą prawa. Pedro i Miki to moi informatorzy. Trochę przeterminowani, na pewno jednak coś wiedzą, muszą wiedzieć. A jeżeli nie wiedzą, to się dowiedzą.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Gabriel G., dodano 12.05.2024 12:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.